Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Okolice miasteczka Telechany wiosną. Fot. Jan Berbeka

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 15 (670) 9 KWIETNIA 1932 R.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.



Niedźwiedź p. L. Cieńskiego z polowania w Rozhurczu. 1926. Fot. dr. J. Rosienkiewicz.

W SPRAWIE ODSTRZAŁU ZWIERZYNY W PORZE GODOWEJ.

W sprawie powyższej wypowiedziałem się już właściwie w roku ubiegłym *). Tematem mego ówczesnego artykułu był przedewszystkiem jeleń, który zresztą w całej dyskusji nad odstrzałem zwierzyny w porze godowej główną odgrywa rolę. Dyskusja ta w ostatnich czasach znów się ożywiła. Głosami dr. Burzyńskiego i mecenasa Garczyńskiego zostałem do niej wciągnięty, więc, jakkolwiek niechętnie, muszę w niej wziąć udział.

Przedewszystkiem jednak pozwolę sobie na zestawienie „literatury" tematu. Będzie ono uzupełnieniem poprzedniego wykazu *). Pomieszczam w niem również i te artykuły, w których interesujący ten temat został poruszony choćby ubocznie.

1. — Jan Krahelski. W sprawie terminów ochronnych. Łowiec Polski 1931, Nr. 32.

2. — Walenty Garczyński. — W sprawie terminów ochronnych. Łowiec Polski 1931, Nr. 33.

3. — Inż. Leon Ossowski. — Luźne uwagi na temat „Poprawianie stanu głuszców". Łowiec Polski, 1931, Nr. 34.

4. — A. Sander. — Do artykułów p. t. „W sprawie terminów ochronnych" zamieszczonych w numerach 32 i 33 „Łowca Polskiego". Łowiec Polski 1931, Nr. 38.

5. — W. W. Garczyński, — tamże (odpowiedź p. A. Sanderowi).

6. — M. Tukałło. — Jeszcze w sprawie terminów ochronnych. Łowiec Polski 1931, Nr. 45.

7. — W. Garczyński. — tamże (odpowiedź p. M. Tukalle).

8. — Prof. dr. W. Szafer. — W sprawie ochrony zwierząt w porze godowej wogóle, a w szczególności w sprawie odstrzału jelenia karpackiego na rykowisku. Łowiec Polski, 1931, Nr. 45 i 46.

9. — W. Grabski. — W sprawie terminów ochronnych. Łowiec Polski 1931, Nr. 46.

10. — W. Garapich. — W sprawie odstrzału zwierząt w porze godowej. Łowiec Polski 1931, Nr. 49.

11. — Dr. W. B. — W sprawie ochrony zwierząt łownych w porze godowej. Łowiec Polski, 1931, Nr. 50.

12. — W. Garczyński. — W sprawie ochrony zwierząt łownych w porze godowej. Łowiec Polski, 1931, Nr. 50.

13. — A. Mniszek. — Ochrona przyrody a łowiectwo. Łowiec Polski 1931, Nr. 24.

*) W sprawie przyszłości jelenia w Polsce. „Łowiec Polski" 1931, Nr. 27 i 28.

14. — Dr. W. B. — W sprawie odstrzału w porze godowej. Łowiec Polski, 1932, Nr. 10.

15. — W. Garczyński. — W sprawie odstrzału w porze godowej. Łowiec Polski 1932, Nr. 10.

Z powyższych bezpośrednio sprawą odstrzału zwierzyny w porze godowej zajmują się artykuły profesora Szafera (8), p. W. Garapicha (10), dr. Burzyńskiego (11, 14), redaktora A. Mniszka (13), i mec. Garczyńskiego (12, 15).

Na specjalną uwagę zasługuje artykuł prof. Szafera, w którym cytowane są opinje szeregu uczonych, zarówno naszych, jak i obcych. Po rozważeniu tych opinji prof. Szafer dochodzi do przekonania, że „zabijanie zwierząt w porze godowej jest czynnikiem doborowym w sensie ujemnym, prowadzącym w konsekwencji do degeneracji, a następnie do wymierania gatunków". Stojąc zasadniczo na punkcie widzenia objektywnym, prof. Szafer jako botanik odwołał się do kompetencji zoologów, którzy w ogromnej większości (odmiennego zdania są tylko prof. dr. Jan Grochmalicki, prof. dr. E. Schechtel i niżej podpisany, opinji których prof. Szafer nie wziął pod uwagę), wypowiedzieli się przeciwko polowaniu w porze godowej.

Niewątpliwie ci wszyscy, którzy odpowiedzieli na ankietę, dali swe opinje po głębszem zastanowieniu się nad zagadnieniem; niestety jednak w odpowiedziach swych nie podali dostatecznego umotywowania. Podkreślił to już mecenas Garczyński, który pisze: „przedstawiciele Rady ograniczyli się do wypowiedzenia jedynie swego „credo" w tym przedmiocie, opartego przytem, jak się wydaje, raczej na teoretycznej zasadzie, niż wyniku szczegółowych, przeprowadzonych przez siebie badań i dociekań w zakresie poruszonego tematu". Muszę się zgodzić z mecenasem Garczyńskim. W niektórych odpowiedziach zaznaczono wprawdzie, że trzeba zaniechać strzelania zwierząt w porze godowej, ponieważ ten typ polowania przeszkadza w wysokim stopniu w naturalnym doborze osobników. Dlaczego jednak przeszkadza? Nie znajduję w tych odpowiedziach należytego uzasadnienia. Doczytuję się tylko nieokreślonych bliżej ogólników. Cała ta sprawa, wbrew temu, co należałoby przypuszczać, w świecie naukowym została postawiona przedewszystkiem na płaszczyźnie uczucia. Bardzo to jest piękne i ważne, ale niemniej jednak nie wystarcza.

Dla mnie jasnem i zrozumiałem, bo zgodnem z nauką, jest to, że do degeneracji prowadzi stałe usuwanie z łowiska sztuk najlepszych i pozostawianie do rozpłodu sztuk gorszych. Ale to w istocie rzeczy nie ma nic wspólnego ze strzelaniem zwierząt w okresie godowym. Nieporozumieniem jest łączenie tych dwu spraw ze sobą. Zanim zostanę przekonany przez tych, którzy są odmiennego zdania, chcę się od nich dowiedzieć, dlaczego przeprowadzenie odstrzału właśnie w porze godowej ma wpływ ujemny na całokształt hodowli? Dlaczego np. zabicie przy łaniach byka starego, być może doświadczonego w walkach, ale częstokroć już niezbyt zdolnego do należytego spełnienia swych funkcyj rozpłodowych, jest szkodliwe, a usunięcie takowego dopiero po rykowisku wskazane? Chcę wiedzieć dlaczego w hodowli bydła domowego buhaj, roczny może spełniać funkcje rozpłodowe, a w rewirze górskim jeleń młody (nie myślę naturalnie koniecznie o szpiczaku) nie może? Chcę wiedzieć, czy istotnie potrzebne są do tego rogi osiemnastaka? To są pytania, na które specjaliści zapytani przez prof. Szafera powinni byli przedewszystkiem odpowiedzieć, zanim przesądzili szkodliwość strzelania byków na rykowisku, względnie strzelania tych byków, które w okresie godowym chodzą z łaniami. Na podobne pytania w artykule prof. Szafera nie znalazłem odpowiedzi. Twierdzenie, że „przy tokowiskach czy na rykowisku następuje selekcja osobników, a jako przyszli ojcowie rodu, pozostają zwycięzcy, a więc osobniki najdoskonalsze; jeżeli myśliwy poluje w tym czasie, to niweczy ten cały proceder selekcji, albo rozmyślnie, wybierając jak na rykowisku, osobniki najdorodniejsze, albo też przypadkowo, strzelając np. na tokowisku głuszce, cietrzewie i t. d. już bez wyboru" nie przekonywa mię bynajmniej, gdyż po pierwsze z nauki o dziedziczności wiem, że nie każdy samiec o kapitalnym eksterjerze jest właśnie dobrym (w charakterze hodowlanym) ojcem. Po drugie zaś myśliwy na rykowisku nie musi koniecznie strzelać tylko do najlepszych byków.

W obecnym stanie rzeczy muszę stwierdzić, że s z k o d l i w o ś ć s t r z e l a n i a b y k ó w w o k r e s i e g o d o w y m, o i l e c h o d z i o h o d o w l ę j e l e n i, s t w i e r d z o n ą n i e z o s t a ł a.

Jeśli zaś chodzi o to, jak się odbiły na stanie jeleni polowania na rykowisku, to muszę stwierdzić, że odbiły się nadzwyczaj dodatnio. Na poparcie tego mogę przytoczyć zdania najwybitniejszych naszych myśliwych z Małopolski, którzy znają to zagadnienie znakomicie. Oto co pisze w tej sprawie redaktor Albert Mniszek: „Przed laty pięćdziesięciu jeleń w Karpatach był prawie, że mitem. Najsławniejsi i najczynniejsi myśliwi polscy wiedzieli o nim bardzo niewiele a mało kto na oczy go oglądał. Dopiero, gdy zaczęto w Karpatach polować na jelenie li tylko podczas rykowiska, stan ich zaczął poważnie wzrastać, gdyż myśliwi objęli swą gospodarką dzikie, karpackie łowiska. Dzisiaj, mimo straszliwej wojny światowej, która stan jeleni niemal doszczętnie wyniszczyła, mamy w rewirach karpackich prawidłowo zagospodarowanych po 10 12 sztuk jeleni na 100 hektarach (vide artykuł p. S. Orskiego p. t. „Z tegorocznych rykowisk w Skolem", „Łowiec" Nr. 23 z 1931 r.). Stan ten przechodzi już nawet granice, zakreślone planem hodowlanym i wymaga wzmożonego odstrzału. Zaręczyć mogę Panom Profesorom, że od kilkudziesięciu lat nikt tam, prócz kłusowników, lub wyjątkowego chyba jakiegoś przypadku, poza okresem rykowiskowym jelenia nie ubił."

Twierdzę, że polowanie na jelenia w Karpatach w obecnych warunkach — to polowanie na rykowisku. Argumentów swoich w tym względzie powtarzać nie będę (patrz „Łowiec Polski" 1931, Nr. 27 i 28). Jasnem jest dla mnie, że jeśli się polowanie na rykowisku w Karpatach zamknie, to polowanie na jelenie w Karpatach skończy się wogóle, a gdy myśliwi przestaną się jeleniem interesować, to zacznie mu grozić zagłada.

W jednej z nadesłanych profesorowi Szaferowi opinji czytam: „Z chwilą odezwania się jeleni, zaludniają się góry i niemal dosłownie trudno znaleźć choćby najmniejszą kotlinę w rewirach, obfitujących w jelenie, gdzieby przez okres około dwutygodniowy nie

chodził po całych dniach myśliwy, uzbrojony w nowoczesną, dalekonośną broń i owiany ambicją zdobycia najpiękniejszego, rekordowego wieńca". Czyż tak jest naprawdę? Ten, kto bywał na rykowisku w Karpatach wie dobrze, że w istocie rzeczy sprawa ma się zupełnie inaczej. Twierdzenie powyższe jest nie grubo przesadzone, jest poprostu fantastyczne.

Według mego zdania pojedyńczy, nieliczni myśliwi, rozproszeni na znacznym obszarze Karpat, nie naruszają w jakiś dający się odczuć sposób spokoju rykowisk. Wszak polowanie na rykowisku nie polega na jakiemś forsowaniu jeleni, a na szukaniu spotkania z bykiem, który normalnie jest w nieustannym ruchu. Pojedyńcze strzały oddane w łowisku w tym czasie są może niezbyt pożądane dla zakłócenia spokoju mają one znaczenie zupełnie minimalne, teorytyczne. Krótki popłoch, wywołany takim strzałem nie wywołuje wszak zamętu w całem łowisku! A obecność myśliwego ma o tyle znaczenie dodatnie, ze utrudnia w tym czasie działalność kłusownika.

Kończąc na temat strzelania byków w okresie rykowiska, stanowisko swoje ujmuję w następujących punktach:

1 — Nie zostało stwierdzonem, by odstrzał byków na rykowisku miał ujemny wpływ na hodowlę i prowadził do degeneracji.

2 — Polowanie na rykowisku doprowadziło jelenie w Karpatach do stanu kwitnącego.

3 — Zamknięcie polowania na rykowisku doprowadzi do tego, że myśliwi porzucą swe rewiry karpackie i wówczas jeleń karpacki znajdzie się w położeniu fatalnem.

4 — Polowanie na rykowisku winno być bezwzględnie utrzymane. Niezależnie od tego winien być oznaczony i inny termin strzelania.

5 — Zamknięcie polowania na rykowisku w równinach nie będzie miało wpływu na stan jeleni. Nie widzę jednak powodu, by to polowanie tam zamykać.

* *

Cała dyskusja co do odstrzału zwierzyny w porze godowej obraca się przedewszystkiem koło jelenia, nie widzę więc narazie potrzeby rozpisywania się drobiazgowego o innych gatunkach. O niektórych wspomnę więc tylko pobieżnie. Co do głuszca zresztą, to ostatnio (14, 15) dr. Burzyński i mecenas Garczyński zabrali głos nieco obszerniej. Ja osobiście stoję w tej dyskusji całkowicie po stronie mecenasa Garczyńskiego. Być może, że dla dra Burzyńskiego argumenty mecenasa Garczyńskiego będą za mało „naukowe", dla mnie wystarczą one zupełnie, stwierdzają bowiem fakty oczywiste: 1 — przed wojną polowano na głuszce mniej, 2 — obecnie poluje się na nie bez porównania więcej, 3 — poluje się wyłącznie na tokach, 4 — ilość głuszców jest kilkakrotnie większa. Za racjonalne uważam więc polowanie na głuszce na tokach, daje ono nam zupełną gwarancję zachowania tego gatunku.

Co do sarny, to jakoś dotychczas nikt nie protestuje przeciwko strzelaniu rogaczy w porze godowej. Aż dziwnem się wydaje, że obrońcom wolności godów nic to nie przeszkadza. Jest to jednak bodaj dla całej tej dyskusji bardzo charakterystyczne.

O łosiu niema co na razie mówić. Czas jakiś jeszcze upłynie, zanim sprawa stanie się aktualna.

Cietrzew? No, ten jest żywym dowodem tego, że człowiek nie tak już bardzo przeszkadza zwierzętom swą obecnością i strzelaniem w okresie godowym. Z chwilą więc, jeśli raz się zgodzimy, że polowanie w tym okresie jest wogóle możliwem, to wątpię, czy się znajdzie jakiś obrońca cietrzewi.

Kaczki? Te żyją ponoć w monogamji, więc teoretycznie winny być w czasie wiosennym całkowicie chronione. Rzecz w tem jednak, że, o ile chodzi o krzyżówki, to ich monogamja jest bardzo problematyczna. Wygląda ona poprostu tak, jak monogamja człowieka. Tem się też tłumaczy, że w okresie największego napięcia godów można zabijać na wabia tak wiele kaczorów. Wdowy kacze, te prawdziwe i te słomiane, zawsze dadzą sobie radę tak, że o przyszłość gatunku możemy być spokojni, a do pewnego stopnia usuwanie kaczorów z łowiska może się nawet odbić na zwierzostanie dodatnio. Trzebaby było jednak zwrócić baczniejszą uwagę na ilość strzelanych w łowisku kaczorów, co do tej pory praktykowane nie jest.



Na stanowisku.

Dla słonki zrobiłbym wyjątek. Bardzo lubię polowanie na słonki na ciągu. Mam po nich najmilsze, dobre wspomnienia. Jeśli jednak chodzi o racjonalne polowanie, o zachowanie gatunku, to muszę się wypowiedzieć stanowczo przeciwko polowaniu na ciągu. Jestem przeciwnikiem takiego polowania w okresie godowym, które prowadzi do zabijania zarówno samców, jak i samic.

Kończąc, muszę tutaj, niestety, dotknąć, tak mi niemiłej zawsze, sprawy polemiki osobistej. Zobowiązuje mię jednak do tego wyraźnie redaktor Garczyński (15). Nie może tu być jednak mowy o merytorycznem odpieraniu zarzutów. Dr. Burzyński załatwia się bowiem z memi argumentami zbyt szybko. Poprost

negliżuje je zupełnie. Uważa, że to, co napisałem, znajduje uzasadnienie jedynie w moim „zapale myśliwskim" pisze „że takie naświetlenie może być też tylko brane na wagę myśliwego, a nie naukową".

Trudno. Widać nie dociągnąłem do poziomu. Przyznam się jednak, że nie bardzo potrafię prowadzić dyskusji naukowej tam, gdzie bierze się poważnie jakieś przygodne artykuły o kaczce, czy perkozie, artykuły, które wszak z nauką nic prawie wspólnego nie mają. Pozatem wydaje mi się chwilami, że cała ta dyskusja, w której tak różnorodni uczestnicy udział biorą, jest jakąś historją z nieprawdziwego zdarzenia. Napewno zaś jest wielkiem nieporozumieniem, skoro uczeni gabinetowi uczą myśliwych jak polować mają, zaś myśliwi dają wskazówki naukowcom jak należy prowadzić poważną dyskusję. Najciekawszem zaś jest to, że mają rację właśnie ci myśliwi, którzy w tej „naukowej" dyskusji najmniej naukowo sobie poczynają i zagadnienia zootechniczne rozwiązują praktycznie, tak, jak je względnie szczęśliwie rozwiązywano już przed wiekami.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



W KRAINIE HAROMSZEK.

(Fragment z cyklu „Łowiectwo Batorego").

Wrzesień r. P. 1574.

Na polanie, wśród ciemnych otchłani odwiecznego, bukowego lasu, ciągnącego się po obu brzegach górnej Aluty, zgiełk i hałas nielada się czynił. — Głosów ludzkich pogwary, jazgot psów i rżenie koni napełniały puszczę dziwnym chaosem nieznanych dźwięków o wczesnym, jesiennym poranku. Szeroka przestrzeń roiła się od ludzi i zwierząt, kłębiących się w barwnym obozie myśliwskim.

Liczna służba, przybrana w długie, skórzane kapoty, w czapach baranich na kudłatych głowach, z rohatynami w dłoniach potężnych, z szerokiemi tasakami za rzemiennym pasem i z łukami na potężnych barach, krzątała się żwawo, to przebiegając między wozami, to zdejmując z nich ładowne skrzynie, to gromadząc suche drewno na dymiące watry, mające za chwilę buzować trzaskającym ogniem, to wreszcie rozdając karmę zwierzętom...

Psy ogromne, do wilków podobne, rwały się na łańcuchach przy furgonach, łyskając krwawemi ślepiami i szczerząc na ludzi swe straszliwe zęby, jakby ich rozszarpywać chciały... Niecierpliwe, straszne, krwi chciwe...

Na wysokich drabinach drzemały łowcze sokoły, zakapturzone, obojętne, nic sobie z psów nie robiące, przy dyszlach zaś stały, zwolnione z postronków, rosłe, andaluzyjskie konie i chrupały łapczywie owies, na płachtach rozrzucony.

Pod samą ścianą lasu opodal obozu dymiło inne, duże ognisko, które, sycone wciąż naręczami suszu, strzelało potężnym płomieniem i rozrzucało szczodrze snopy iskier dokoła.

Na przysuniętej do ogniska, szerokiej ławie, skleconej naprędce z łat sosnowych, siedział, w bogaty strój myśliwski odziany, sam książe siedmiogrodzki, całej tej krainy władca udzielny, puszcz nieprzebytych, gór niedosiężnych, a złotodajnych, i zamków mnogich pan i dziedzic.

Czerstwą i piękną twarz Batorego, okraszoną bujnym, ciemnym zarostem, opromieniał zadowolenia uśmiech radosny.

Oto opuścił na krótko, na kilka dni zaledwie mocne swe grody, by, zostawiwszy w nich wszystkie niepokoje i troski, pofolgować myśliwskiej ochocie i zapolować na grubego zwierza.

Stróża bowiem doniosła panu, że kilka niedźwiedzi w niedalekich zalega ostępach i że snadnie je wytropić i ubić można...

Dziw to wielce osobliwy nie był, bo w powiecie Sepsi Sz. Gyorgy ciągnęły się naonczas olbrzymie lasy od Tusny kąpielowej, aż hen, po Bóczon, na południe i między Lelek na wschodzie, aż poza Baróth na zachodzie, a zresztą w całym komitacie Haromszek, bardzo lesistym i zrzadka jeno zaludnionym, było mnóstwo wysokiej zwierzyny: dzików, jeleni, wilków i niedźwiedzi.

Batory często go odwiedzał i wiele w nim polował. Ażeby zaś jak najprędzej tym razem stanąć na miejscu, wyruszył wojennym ordynkiem z Szilagy-Sombyo na Des, Kólozsvar-Napoca, Balezsfalva, Segesvar i Baróth, starorzymskim traktem Trajana, i dotarł po kilkodniowym trudzie do Aluty.

Przybył szczęśliwie.

Pogoda sprzyjała wspaniała.

Wyskoczywszy raźno ze swego pojazdu, zarządził krótki odpoczynek ludziom i zwierzętom, kazał rozbić obóz, zapalić ogniska i rychło, zadowolony z siebie i uśmiechnięty, usiadł przy ogniu, grzejąc się i patrząc to na swoich towarzyszy, to na okiem nieobjęte lasy, to na wyniosłe szczyty górskie, wyjaśnione promieniami wschodzącego słońca i tem jaśniejsze, że już śniegiem zlekka pokryte. A nieustanny, głuchy poszum bliskiej rzeki Olty podnosił jeszcze nastrój i tak niezwykłej chwili.

Obok księcia czarny zasiadł rycerz. Z możnego snać rodu, jeśli z nim poufale rozmawia i bogaty, skoro ciemna jego zbroja szczerozłotemi nabita guzami. Z pod sobolej czapki, na której białe pióro czaple powiewa, agrafą brylantową spięte, spływają krucze kędziory. Obwisłe, sumiaste wąsy z czarną brodą się łączą. Ciemno-stalowe oczy patrzą przed się ponuro, lub błądzą po ludziach i rzeczach niespokojnie...

Opowiada coś zajmującego, w łacińskiej mowie, Batoremu, bo go ten słucha chętnie i uśmiecha się niekiedy.

To gość przygodny z dalekiego Lengyelorszagu, możny do niedawna w swej ojczyźnie potentat, jej syn szalony i warchoł zuchwały bez miary, a teraz banita i tułacz, p. Zborowski Samuel... Aż do Siedmiogrodu się zapędził, ścigany wyrokiem sądu sejmowego i być może, marami swych nieodpokutowanych przestępstw

Przywiózł księciu, nie znającemu jego przeszłości, jakieś szczególniej pomyślne wieści i dlatego mile był przyjęty na jego dworze i nawet na polowanie zaproszony.

W dostojnem kole siedzą dalej przy ogniu dr. Blandrata, lekarz nadworny i uczony, Andrzej Batory, synowiec, a obok rzędem panowie węgierscy: Berzeviczy, ogromny Michał Thelegdy, Jerzy Banfy i rodak Zborowskiego, poseł polski i wypróbowany Stefana przyjaciel, imć pan Hieronim Filipowski.

Wszyscy myśliwi zawołani.

Batory pogrążył się w myślach i rozważał przywiezione z Polski wiadomości, do której zresztą oddawna zbliżyć się pragnął, owładnięty dla niej wielkim, podświadomym sentymentem.

Wspólne interesy obu krajów, silne węzły przeszłości, podobny ustrój państwowy i jednakie narodowe skłonności — wszystko to kojarzyło się w umyśle książęcym w jeden ponętny obraz i pozwalało snuć śmiałe, aczkolwiek nieuchwytne jeszcze nadzieje...

Zborowski zapewnił go, że z bracią szlachtą już się w Polszcze porozumiał i że ona to właśnie pragnie usilnie, ażeby książe do Polski przyjechał i koronę Jagiellonów na swoje włożył skronie. Pan Filipowski tak samo powiadał i gorąco zachęcał.

Bo oto niedawno Walezy opuścił Kraków na zawsze, sromotnie z kraju, który go tak mile przyjął, uszedłszy...

Szanse mógł mieć Batory i dlatego także, że jako zacny kawaler nadawał się szczególniej do ręki cnotliwej królewny Anny, jedynej Zygmuntów wielkiej puścizny — dziedziczki.

Więc się zadumał, doniosłe plany na przyszłość formując.

* * *

Ledwie się myśliwi jako tako ogrzali, a już Batory kazał trąbić na łowy i poślednie wydał dyspozycje.

Wybrane, a niedalekie ostępy z niedźwiedziami wnet otoczono, psy z osacznikami w knieję puszczono.

Zagrała puszcza krótkim psów poszczekiem, ozwały się głosy tropicieli. Ławą ruszyli myśliwi za świeżym tropem...

Niedźwiedzie włóczyły się jeszcze podówczas po puszczy.



Kaczory. Fot. kpt. Szczepański

Były wśród nich stare pojedynki, mocarne, a złe ogromnie. Były i matki z piastunami i młode, już samopas chadzające.

Chociaż chłód jesienny dokuczał i noce bywały chłodne, a śnieg na szczytach Fogaraszu się bielił, zwierz ten jeszcze nie spał.

Nie spieszno mu było do przygotowanych legowisk.

Obfite jagody leśne, smakowite grzyby i dojrzewający owies nęciły go do uczty. Widać, uważał miś, że warstwa tłuszczu nie narosła mu dość grubo pod szubą...

Psy, wiodące łowców, osaczyły niebawem dużą sztukę. Okaz był czarny, jak noc... Chodził dotąd po lesie swobodnie, pewny że nikt go nie znajdzie.

A chociaż, dochodziły do jego uszu ze skraju puszczy jakieś podejrzane odgłosy, lekceważył je sobie, w poczuciu swej potęgi.

Psy zobaczył po raz pierwszy w życiu, więc się ich nie bał i nie uciekał, ale łagodnie im się opędzał przedniemi łapami, jakby przed dokuczliwym much rojem. Razów, zadawanych ostremi zębami nie odczuwał...

Szedł powoli, przysiadał, mruczał, pokazywał kły.

Zuchwalsze napastniki karcił błyskawicznem uderzeniem jednej łapy, ale przetrącał im przytem kości tak, że zaraz ostawały bez ruchu i skomląc, ciągnęły się po ziemi...

Zdało się, iż w ten sposób wszystkie obezwładni...

Łowcy, towarzysząc psom, postępowali tuż za niemi lub je nawet wyprzedzali.

Książę pierwszy dojrzał zwierza.

Na widok człowieka porzucił miś harce z psami i, rozumując, że sytuacja staje się poważna, podniósł się przodem i mocno się na tylnych łapach oparłszy, gotował się do rozprawy. Uciekać nie miał zamiaru. Wyprostował się tylko na całą długość i, pierś szeroką odsłoniwszy, ruszył do ataku...

Błysnął oszczep Batorego, świsnęło z impetem ostrze i pogrążyło się w ciele zwierza, przebijając na wylot żywe, gniewem pulsujące jego serce.

Chciał się jeszcze ruszyć, pragnął dosięgnąć łapami wroga, by go zdławić w swoim uścisku, ale nie zdołał tego uczynić i padł u stóp łowcy bez życia...

Pomoc Thelegdy'ego, który czaił się tuż za księciem, była niepotrzebna. Za to podziw jego dla pana był rzetelny.

Równocześnie niemal w innej stronie ostępu zginął w taki sam sposób drugi niedźwiedź z rąk książęcego kuzyna.

Miał Batory jednak dość polowania. Dwa niedźwiedzie mu wystarczyły. Kazał więc je otrąbić i zarządził powrót do miejsca postoju.

Orszak znalazł się wkrótce w obozie. Po skromnym posiłku i krótkim wypoczynku, zwinięto go i ruszono do Somlyo.

* *

W dwa lata później został Batory jednomyślną wolą wolnego narodu na tron królewski wyniesiony.

Porzucił na zawsze swą piękną ojczyznę dla Polski, aby nią rządzić mądrze i sprawiedliwie.

Już jako Serenissimus Princeps Transsilvaniae dzierżył dobrze i mocno swoją władzę, ale dopiero na tronie polskim miały zajaśnieć genjalne jego zdolności blaskiem najświetniejszym.

Jadąc do Polski zaraz po zaprzysiężeniu paktów w dniu 8 lutego 1576 w podwojach wspaniałej w Medjaszu katedry, drogą na Czerniowce, Śniatyń, Lwów i Przemyśl do Krakowa, stanął w dniu 17 kwietnia w Mogile, niedaleko Krakowa.

Dowiedziawszy się zaś o bogatej w zwierza puszczy Niepołomickiej, zapolował w niej ku niemałemu swej duszy myśliwskiej pokrzepieniu i wielkiej radości polskiego otoczenia.

Rycerski pan rycerskim u progu nowej ojczyzny czynem rozpoczynał rządy, prezentując się godnie narodowi.

*
* *

Dnia 28 września 1933 upływa czterysta lat od urodzenia Stefana Batorego.

Doniosła to i chwalebna rocznica dla narodu polskiego, wielka i dla polskich myśliwych.

Uczci ją naród cały. Odbędą się zjazdy, wykłady, akademje i inne uroczystości. Dla swoich i dla obcych. Przybędą delegacje różnych narodów, a przedewszystkiem z Węgier.

Uczci tę rocznicę godnie i ogół polskich myśliwych tak, jak na to wielki myśliwy zasłużył.

Ale i czynem należałoby upamiętnić wiekopomną rocznicę! Uważam, że najpiękniejszym wyrazem hołdu dla pamięci króla Stefana będzie obszerniejsza praca na temat jego myśliwskiego żywota.

Redakcje pism łowieckich ogłoszą zapewne konkursy literackie i wyznaczą termin co najmniej całoroczny na napisanie pracy.

Stanie się ona w roku jubileuszowym trwałym pomnikiem naszej szczególniejszej czci dla najdostojniejszego myśliwego w Koronie.

WŁADYSŁAW GÜRTLER.



IWAN.

Był wąsaty, brodaty, miał chytre oczy i nazywał się Iwan. Mam go do tej pory w oczach, jak wywijał toporem na podwórzu, obrabiając potężne kloce sosnowe, i przy każdym zamachu wydawał z piersi dźwięk jakiś dziwny, pośredni pomiędzy sapaniem kowalskiego miecha i zgrzytaniem kół starego wodnego młyna przy puszczeniu wody. Dźwięk ten wywoływał we mnie zawsze mieszaninę przestrachu (miałem wtedy koło czternastu lat) i podziwu. Od czasu do czasu wyciągnął małą fajeczkę i woreczek z tytoniem, siadał okrakiem na obrabianym klocu, dokładnie upychał tytoń grubemi palcami i spluwając co chwila dobrze odmierzonemi porcjami, palił. Chytre oczy przestawały mu niespokojnie biegać i nabierały wyrazu błogiego zadowolenia z życia. Potężne, rozrośnięte, jak korzenie przydrożnej sosny, muskuły odpoczywały wtedy układając się spokojnie pod skórą. Nieraz mię zastanawiało, coby się stało, gdyby doprowadzony do pasji użył w walce wręcz swych straszliwych rąk. Nie ręczyłbym za całość czaszki przeciwnika. Ubierał się w juchtowe buty, zabytek zapewne jeszcze z arki Noego, na których pokład brudu był tak gruby, że pochlapane wodą te buty, wydawały się zrobione z błota! Grube i samodziałowe spodnie i wyszywana koszula stanowiły komplet ubrania. O reszcie wolałbym nie mówić ze względu na to, że zapewne i panie będą to czytały. Mam grubą bowiem wątpliwość, że ową resztę normalnej garderoby znał raczej z widzenia. Uważał to zapewne za zbędny zupełnie i burżujski wymysł „panów". Umysł miał raczej krytyczny i trzeba mu przyznać, nie tylko w stosunku do nielubianych przez siebie „panów", ale i do współziomków. Rozmowy jego z fornalami kończyły się normalnie wzruszeniem ramion i wymownem „Ot, durak Iwan". On wtedy spluwał jeszcze siarczyściej niż zwykle i mówił „Idi k' czortu" lub lakonicznie wypominał brak podstawowych zasad moralności u matki swego rozmówcy. Nie pociągało to zresztą w następstwie żadnych poważniejszych zatargów tylko wytwarzało koło niego „wspaniałą izolację". Interpelowani o niego przezemnie parobcy kiwali znacząco głowami pokazując palcami w okolicy czoła. Samotny więc Iwan mógł spokojnie obrabiać swoje kloce na folwarcznem podwórku, ku zupełnemu zadowoleniu i uznaniu rządcy. To było wystarczające.

Pomimo tego, że mi się zawsze grzecznie kłaniał, trzymał się sztywno i jakby mię ignorował. Irytowałem się tem trochę. Chłopcy w tym wieku, jak ja wtedy byłem, lubię żyć ze wszystkimi na dobrej stopie. Tembardziej tam, gdzie tyle interesujących rzeczy się działo — na folwarcznem podwórzu.

W tym to mniej więcej czasie zacząłem samodzielnie chodzić z dubeltówką. Fakt ten, tak dla mnie ważny był przedmiotem głębokiej wewnętrznej adoracji dla samego siebie i głębokiego zadowolenia. Okoliczne stada wron omijały teren moich wyczynów, tak starannie i z takiem uszanowaniem, że niejednokrotnie musiałem poprzestać na wróblach i im podobnych ptaszkach.

Niebawem nie miałem blisko domu czego strzelać i zacząłem się wymykać do pobliskiego lasu, przynosząc stamtąd dzięcioły, jastrzębie, pustułki, gołębie...

Od tego czasu datuje się zbliżenie moje do Iwana. Był on bowiem od wielu lat znanym w okolicy „ochotnikiem". Niedawno właśnie przedtem z wielkim trzaskiem i hukiem policja odebrała mu broń za kłusownictwo. Trudnił się teraz w wolnych chwilach wnykarstwem, który to kunszt znakomicie, zdaje, się, posiadał.

Zaczęły się długie nasze rozmowy wśród wiórów i trzasek obrabianych kloców. Panicz z dubeltówką, choć zaliczał się pomimo wszystkiego do nielubianych przez niego „panów" jednak reprezentować zaczął szanowany na kresach stan „ochotników" i jako taki zasługiwał na rozmowę i zainteresowanie. Coraz częściej w czasie pracy wznosił się dymek z fajeczki Iwana i coraz częściej zgorszony rządca widywał nas rozkraczonych na belce i pogrążonych w rozmowie. Właściwie Iwan gadał, a ja słuchałem. Umęczona dubeltówka odpoczywała wtedy na kolanach, a niemniej umęczone ptactwo zażywało rzadkich chwil zupełnej swobody!

Ciekawe miał życie Iwan. Los zaniósł go hen daleko, gdzieś na Syberję, gdzie spędził kilkanaście lat. Co on tam robił właściwie, do tej pory nie wiem. Czy był to wynik zatargu z nielubioną władzą i prawem, o których gdy wspomniał spluwał podwójną porcją i ironicznie się uśmiechał, czy inny powód, dość, że mi nigdy o tem nie mówił. Przedmiotem naszych dyskusji była „ochota" i to „ochota" syberyjska! „Krajowe" myślistwo i zwierzynę traktował wyniośle i z niekłamaną pogardą! Nie mógł nigdy zrozumieć ochrony owych nędznych zajęcy i kur, które dla niego nie były przecież zwierzyną! Grzechem dla niego były wszelkie ochrony i terenowe ograniczenia. Może nie grzechem nawet, a wprost najjaskrawszą śmiesznością. Pomyłką dziwną i nieuzasadnioną. Zdaniem jego, tylko Bóg uchwalił granice dla „ochotnika" i żadne ludzkie prawo nie miało tu nic do gadania.

Bóg stworzył myśliwca i grubego zwierza, obu uzbroił w prastary instynkt walki drapieżnej i bez litości prowadzi prawdziwą i dobrą drogą.

Serce mi drżało i dech zamierał w piersiach, gdy słuchałem o wilkach niedźwiedziach, jeleniach, o polowaniach w kilku dobranych towarzyszy (czyta się: kłusowników!) o zmaganiach się z mrozem, wiatrami i niepogodą. Czasami w tok opowiadania wkradały się misterne wzmianki o przypadkowych nieporozumieniach z ową „władzą", które zresztą, jak mówił, na miejscu były „złagodzone". Jakiego rodzaju to bywały załagodzenia mogłem się domyśleć, choć się o szczegóły nie dopytywałem.

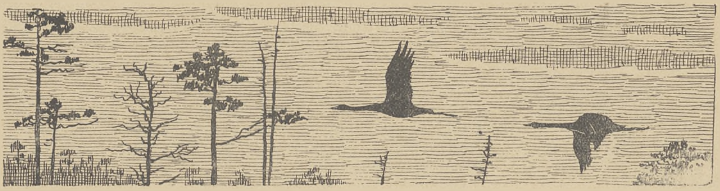
Prawda z fantazją mieszały się w tych gawędach tak dalece, że trudno nieraz było mi rozgraniczyć jedną od drugiej. Nieraz później zastanawiałem się, skąd ten nieuczony chłop umiał tak opowiadać przeżyte zdarzenia i przygody. Widać święty, prastary instynkt łowiecki, choć spaczony, nawet w nieokrzesanych naturach potrafi wydobyć iskrę czegoś lepszego i wyższego. Lepszego z wyjątkiem litości. Nie było nic w tych opowiadaniach z tego uczucia. Krew i mord bezwzględny górowały ponad wszystkiem.

Wiadomości jego co do zwyczajów wszelkiej zwierzyny do tej pory wprawiają mię w zdumienie i mam

głębokie przekonanie, że niejeden z naszych myśliwych nie mógłby się podobnemi poszczycić. Zdawało się, że każdy krok, każde poruszenie się zwierza nie było dlań żadną tajemnicą, ani niespodzianką. Dużo się od niego nauczyłem pod tym względem. Przyjaźń zawarta przetrwała długo, aż do czasu, gdy rzucił u nas robotę i poszedł sobie gdzieś w świat.

Poco i naco, nie wiem. Coś „nosiło" tego niespokojnego ducha z miejsca na miejsce. Ale choć dobrych kilka lat minęło, nie zapomniałem brodatego kłusownika i polubiłem go. Może, choć staliśmy na krańcowo różnych stanowiskach, złączyła nas nić jednego zamiłowania: wszechwładna i zawsze jednakowa pasja łowiecka.

ZDZISŁAW JANOTA BZOWSKI.



ŻÓRAW POSPOLITY.

Ptak ten, z którego głosem spotykamy się podczas wszystkich niemal polowań wiosennych, szerszemu ogółowi nie jest dotychczas zbyt dobrze znany, to też nie od rzeczy będzie w tem miejscu dorzucić nieco szczegółów o jego życiu i obyczajach. Żóraw pospolity nosi naukową nazwę łacińską *Grus grus*, lub też *Grus cinerea*, Francuzi zowią go *la grue*, Niemcy *der Kranich*, Czesi *jerzab* (jerab), w języku rosyjskim zowie się *żurawl sieryj*, białoruskim *żuraw*, w litewkim *gierwis*.

Jest to jeden z największych ptaków europejskich. Stojąc wyprostowany, dosięga 1,3 m. wysokości, czyli wzrostu niskiego człowieka, długość od początku dzioba do końca ogona wynosi średnio 115 cm. a sięg, czyli rozpiętość skrzydeł 220 cm. Waga dorosłego ptaka dochodzi do 8 kilogramów. Głowa mała, dziób nieco dłuższy od głowy, zaostrzony, otwory nosowe kształtu owalnego, szyja długa, cienka i bardzo giętka. Tułów wałkowaty. Skrzydła silne, szerokie i długie. Nogi bardzo wysokie, upierzone do połowy goleni, stopy cztero-palczaste, przyczem palec tylny zaledwie pazurem sięga ziemi, palce u nasady spięte błoną. Ogólny ton upierzenia żórawia jest szaro-popielaty, po bokach szyi od oczu do ramion ciągną się białe, wygięte sierpowato plamy; lotki, czoło i podgardle czarne, na głowie czerwona łata. Dziób szarozielonawy, nogi czarne, tęczówka oka czerwona. Długie zewnętrzne lotki skrzydeł zwieszają się nad ogonem, tworząc piękny pióropusz. Samiec różni się od samicy nieco większym wzrostem i bujniejszym pióropuszem lotek, jak też i jaskrawszą plamą czerwoną na wierzchu głowy, która to plama nie występuje jedynie u ptaków młodych. Młode żórawie są brunatno-szare i dopiero po roku dostają właściwego upierzenia, tak, że na wiosnę można jeszcze spotkać sztuki, posiadające na plecach brunatne plamy. W systematyce należy do rzędu brodzących czyli brodźców *(Grallatores)*.

Głos żórawia jest nadzwyczaj silny i donośny tak, że słyszeć się daje na odległość paru kilometrów i więcej, zwłaszcza w ciszy nocy lub wieczora. Jest to wysoki, pojedyńczy okrzyk, dający się przedstawić literami, jako żałośnie powtarzane k r r r i i i lub k r r r u u u. Głos ten ma w sobie coś z dźwięku metalowej trąbki, bowiem krtań ptaka, swoją oryginalnie wygiętą budową przypomina rodzaj trąbki. W miejscach lęgowych krzyczą żórawie bardzo często, zwłaszcza na wiosnę, a głos ich dla myśliwego jest zegarem leśnym. Nie licząc okrzyków wieczornych, poranne są trzy: pierwszy raz krzyczą żórawie o samej północy, drugi około godziny pierwszej i wreszcie trzeci mniej więcej na 2½ godziny przed wschodem słońca, które jak wiadomo w końcu marca i początkach kwietnia wschodzi około godziny 5 minut 30. Ten trzeci okrzyk jest już sygnałem wymarszu na podchód głuszca. Krzyczą też żórawie o zachodzie słońca, w południe i w innych porach dnia i roku, lecz wówczas głos ich już nie ma takiego znaczenia, jak na wiosnę. Znany jest także każdemu ich żałosny klangor w czasie przelotów, zwłaszcza jesiennych, kiedy to ptaki żegnają swą ojczyznę, odlatując do Afryki. Wogóle głos żórawia budzi w sercu jakąś dziwną, niewytłumaczoną tęsknotę i posiada dlatego pewien swoisty urok.

Pożywienie tego ptaka w czasie, gdy wiosna nie wstąpiła jeszcze zupełnie w swe prawa, stanowi pokarm roślinny, a mianowicie młoda trawa, oziminy, korzonki, jagody i nasiona, później żywi się liszkami, owadami, dżdżownicami, jada też żaby, węże, myszy i krety. Ulubiony jego pokarm stanowi groch, pszenica i tatarka. W poszukiwaniu tych przysmaków wylatuje na sąsiadujące z błotami pola i tam żeruje. Ma to miejsce szczególniej w jesieni, gdy stada żórawi gromadzą się w celu odlotu. Można je wówczas obserwować, gdy się przechadzają z powagą po ścierniskach lub polach z resztakmi grochu czy gryki.

Rozprzestrzenienie żórawia na kuli ziemskiej, jest dość znaczne, zamieszkuje on bowiem całą północną Europę i Azję. Na ziemiach polskich trafia się w czasie przelotów wszędzie, lęgnie się natomiast tylko w województwach: wileńskiem, nowogródzkiem, poleskiem i częściowo w białostockiem. Ze znanych mi dotychczas stanowisk lęgowych tego ptaka w Polsce, wymienię większe błota i mszary Wileńszczyzny i Nowogródczyzny, puszcze: Augustowską, Grodzieńską, Ruską (Bersztowską), Rudnicką, Wiszniewską i Białowieską wraz z przylegającemi do nich większemi bagniskami, oraz całe Polesie, gdzie żóraw jest bardzo pospolity. W Suwalszczyźnie jest też dość liczny, natomiast nad górną Narwią, jak mi donoszono, lęgnąć się ma zaledwie sporadycznie.

Ulubionem miejscem pobytu żórawia są rozległe i odludne błota, porosłe krzakami łozy, karłowatej brzózki i olchy, wśród której płynie leniwie błotnista rzeczka, tamowana zwałami roślinności wodnej, rozlewająca się miejscami szeroko, tworząca tak zwane z białoruska „plosy" czyli głuche jeziorka, okolone zwartym pierścieniem sitowia i szeleszczącej trzciny. A duże mokre łąki, przylegające do tych miejsc, rozweselają monotonność krajobrazu. Okolica ta jest typową siedzibą żórawia na Polesiu. Inaczej wygląda jego rezydencja na Wileńszczyźnie. Jest to olbrzymia połać mszarów, leżąca zdala od siedzib ludzkich, otoczona wysokopiennym lasem. Jak okiem sięgnąć, ciągnie się obszar, porośnięty niską, karłowatą sosną, o rachitycznie powyginanych gałęziach, zaledwie na końcach okrytych czubkami zielonych igieł. Podłoże takiego mszaru stanowią wysokie kępy, pomiędzy któremi błyszczy woda, okryta grubą warstwą mchu, uginającą się pod stopą człowieka ze złowrogiem bulgotaniem wydobywającego się przez otwory nazewnątrz czarnego, jak smoła, błota. Stąpając po takim gruncie, ma się wrażenie, że jest to dywan uwieszony w powietrzu, a pod nim znajduje się przerażająca próżnia. Kiwające się w takt naszych kroków pobliskie sosenki, jeszcze bardziej potęgują to przykre wrażenie i mimowoli ogarnia człowieka strach na myśl o możliwem przerwaniu się tego mchowego dywanu, upstrzonego krzakami rośliny „bagna", o odurzającej woni, lub czołgającemi się wiciami żórawin, o krwistych, nalanych kwaśnym sokiem jagodach. W takich to miejscach przebywają u nas żórawie, dając znać o sobie metalicznemi dźwiękami tęsknych okrzyków.

W końcu marca lub w pierwszych dniach kwietnia, zależnie od położenia geograficznego, przylatują żórawie na rodzinne błota małemi stadkami, liczącemi po kilkanaście sztuk, i zaraz rozbijają się na pary, z których każda zajmuje swój rewir, w obrębie którego ściele gniazdo. Zakątek, w jakim zostaje umieszczona ta przyszła kolebka piskląt, jest zazwyczaj najbardziej dziki i najtrudniej dostępny z całego obszaru błot. W końcu kwietnia przystępują już ptaki do budowy gniazda, które zakładają wśród krzaków olchowych, lub na kępie mchu, albo nawet wprost na ziemi, pośród wysokiej trawy. Jest to olbrzymia budowa, dochodząca do 2 m. średnicy, której szkielet składa się z gałęzi i drobnych patyków, przetykanych suchą trzciną, sitowiem i tatarakiem wewnątrz wysłana trawą. Już niekiedy w ostatnich dniach kwietnia, lecz najczęściej w pierwszej połowie maja, samica znosi 2 jaja, rzadziej 3, a już wyjątkowo 4. Zazwyczaj, powtarzam, bywa ich tylko dwa. Są one duże, podłużne, przewyższające znacznie rozmiarem jaja gęsi domowej, barwy szaro - zielonkawej w bronzowe i cynamonowe plamy, które się koncentrują w tylnej części jajka i stąd się rozchodzą ku noskowi. Wymiary jajka wynoszą 10 cm.×5,5 cm. Po dwóch przeszło tygodniach wylęgają się okropnie niezgrabne pisklęta, pozostające przez dłuższy czas w gnieździe i troskliwie karmione przez oboje rodziców. Skoro tylko młode o tyle już podrosną, że nauczą się latać — cała rodzina rozpoczyna żywot koczowniczy, wylatując o świcie na sąsiadujące z mszarami łąki i pola, gdzie żeruje w ciągu paru godzin, poczem powraca na błota. Żórawie odznaczają się dużą inteligencją. Są to ptaki nad wyraz ostrożne i czujne, to też zdaleka dostrzegają każde niebezpieczeństwo i ratują się zawczasu ucieczką, a człowieka nie dopuszczają do siebie bliżej niż na 200 — 300 m. Podczas, gdy stado żeruje, jeden lub dwa ptaki obserwują okolicę i w razie potrzeby alarmują towarzyszów, którzy normalnie co pewien czas zmieniają tych wartowników, by i oni mogli się pożywić. Z tego powodu żórawie stanowią zwierzynę, ogromnie trudną do podejścia. W miarę zbliżenia się jesieni, poszczególne rodziny łączą się razem, tworząc stada po kilkadziesiąt nieraz sztuk, które pod wodzą paru starych, doświadczonych samców, koczują po okolicy, przygotowując się do ostatecznego odlotu.



Z polowań w leśnictwie wetelskiem. Fot. J. Suchodolski

W początkach września stada zwiększają się coraz bardziej, dochodząc do 60 sztuk w każdem, lub nawet i więcej, i wreszcie któregokolwiek ranka ruszają

w daleką i uciążliwą podróż, której celem jest północna i środkowa Afryka, a w szczególności brzegi Nilu Białego i Niebieskiego. Lecąc za dnia i przy sprzyjającej pogodzie, stado ciągnie prawie zawsze na znacznej wysokości, natomiast w czasie słoty lub silnego wiatru, jak też podczas wędrówek nocnych, lecą żórawie nisko nad ziemią i co pewien czas zatrzymują się w odpowiednich miejscach w celu krótkotrwałego odpoczynku. Odlatujące stado uszykowane jest w kształcie piątki rzymskiej, zwróconej ostrzem do przodu, przyczem jedno ramię jest zawsze krótsze niż drugie. Na czele stada leci stary samiec-prowodyr, który zna podniebne szlaki i toruje sobą w prądach powietrznych drogę całemu stadu. Co pewien czas przywódca taki, zmęczony walką z wiatrem, usuwa się w celu wypoczynku na koniec stada, a jego miejsce zajmuje inny jakiś samiec. Opisane uszykowanie stada jest jak widać najpraktyczniejsze w czasie długiej podróży powietrznej, gdyż ptaki, jeżeli przypadkowo szyk ten utraciły — natychmiast starają się do niego powrócić. Właściwy odlot na południe następuje we wrześniu. Prowadząc od szeregu lat szczegółowe notatki przyrodnicze, mam możność przytoczenia nawet paru dat. Otóż najwcześniej odlatywały żórawie 28 sierpnia, dalej wrzesień, a w szczególności dni 14, 16, 17, 18, 19 są przepełnione adnotacjami z różnych lat o przelocie stad żórawich nad Wilnem, gdzie stale zamieszkuję. Najpóźniejszy mój zapis pochodzi z dnia 11 października, zresztą jest on bardzo odosobniony. Jak widzimy z przytoczonych powyżej danych, druga połowa września stanowi właściwy termin odlotu. Przelatując nad okolicami, zbliżonemi wyglądem do miejsc ich bytowania, stado zapada na żer i często nawet kilka dni tam biesiaduje, zwłaszcza o ile nadchodzące chłody nie wypędzają tak bardzo z tej miejscowości. Znając takie okolice, rok rocznie w czasie przelotów można w nich znaleźć żórawie, chociaż w innym czasie ptaki te nie są tam spotykane. Inaczej rzecz się ma wiosną. Wówczas, stęsknione do ojczyzny rzesze emigrantów, dążą uparcie naprzód i jeżeli się zatrzymują w drodze, to na bardzo krótko. Jeszcze nieraz wiosna nie wstąpiła w swe prawa, jeszcze całun śnieżny pokrywa ziemię i rzeki dopiero jęły zrywać pęta lodowe, a już z uroczyska, zatopionego spływającą z pagórków wodą, leci tęskny zew żórawi — tych szarych zwiastunów wiosny. Na Wileńszczyźnie bywa to w początkach kwietnia, a przelot nad Wilnem wiosennych stad notowałem w dniach od 2 do 17 tegoż miesiąca.

Jako zwierzyna, nie przedstawia żóraw dużej wartości, mięso jego bowiem jest ciemne, dosyć twarde i suche, to też używane bywa niemal wyłącznie na pasztety. Poluje się więc na te ptaki przeważnie w celach naukowych. Ale, jak już wspomniałem, jest to zwierzyna ogromnie trudna do zdobycia. Podejść do żerującego stada jest wprost niemożliwością, a podjazd też rzadko daje się uskutecznić, zwłaszcza w miejscach lęgowych, ze względu na trudno dostępne tereny, na których trzymają się żórawie. Można go stosować jedynie w ciągu sierpnia w tych okolicach, gdzie żórawie stale przebywają, kiedy to stada tych ptaków wylatują rankami na żer na łąki i pola. Najczęściej zdobywa się to piękne trofeum wypadkowo z nalotu. Znając jednak tereny, gdzie ta zwierzyna zwykła żerować, można z powodzeniem używać małej naganki, której zadaniem jest napędzić uchodzące ptaki na ukrytych myśliwych. Żóraw z ziemi podrywa się z trudnością. Czas jakiś skacze, machając skrzydłami, poczem dopiero wolno się wznosi w powietrzu, ciągnąc narazie niezbyt wysoko, to też przy sprzyjających okolicznościach strzał bywa łatwy. Używać jednak trzeba ładunków wzmocnionych ze śrutem grubym, zerowym lub dwuzerowym, ze względu na to, że żóraw jest dość twardy na strzał i strzelać należy najlepiej przepuściwszy go poza siebie, t. j. z tyłu, pod pióra, unikając trzałów na sztych. Przy strzałach dalekich do ptaków żerujących, używać trzeba broni kulowej, a dobra lorneta myśliwska odda też nieocenione usługi przy wyborze najokazalszej sztuki. Raniony żóraw jest dość niebezpieczny, gdyż błyskawiczne swe uderzenia dziobem kieruje wprost w twarz myśliwego i może zranić dotkliwie, a w wypadku trafienia w oko, nawet oślepić, najlepiej więc dostrzelić go odrazu. Zraniony w nogę kładzie się na grzbiecie i zawzięcie broni się dziobem i drugą nogą, tak, że nie każdy wyżeł potrafi go wziąć.

O zmyślności tego ptaka najlepiej można się przekonać, hodując go w domu. Młode, wyjęte z gniazda, doskonale się chowają, oswajając się zupełnie, natomiast stary ptak staje się złośliwy i z trudnością przywyka tylko do swego nowego życia. Miałem już kilku tych pierzastych pupilów i zachwycony jestem ich mądrością. Ilekroć wyruszałem na spacer, żóraw stale mi towarzyszł, lecz nie zadawał sobie trudu iść ze mną, a pozostając wtyle — przylatywał na skrzydłach, poczem znowu zostawał, czekając, aż się oddalę i znowu nadfruwał z ogromnem zadowoleniem. Nie znosił psów i dzieci, wśród których szerzył panikę swojem ukazaniem się, a śmielsze zmuszał dziobaniem do ucieczki. Wiosnę i lato spędzał w ogrodzie, a jesienią, gdy odlatujące stada żórawi żałosnym klangorem żegnały okolicę — mój wychowanek podnosił głowę i odpowiadał na ich wezwanie, nie okazując jednak bynajmniej chęci połączenia się z towarzyszami. Zimę spędzał w oborze, wśród krów, które to towarzystwo szczególniejszą darzył sympatją. Chowałem go u siebie przez trzy lata, żywiąc grochem i pszenicą, aż wreszcie zginął biedak, rozszarpany przez psy. Wspomnienie o tym dawnym towarzyszu żywo zachowało się w mej pamięci.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.



Z wiosennych widoków.



NOWA KSIĄŻKA O PRZYJACIOŁACH*).

Już H. G. Wells, jeden z najbystrzejszych umysłów naszej współczesności, w swem dziele na temat historji świata zwrócił uwagę, jak niezmiernie mały postęp od czasu ery bronzowniczej uczyniła ludzkość w rozwoju stosunków swoich ze zwierzętami. Jak na przestrzeni tych tysięcy lat, które przeszły, w odniesieniu do zwierzęcia nic a nic nie wzrosła nasza zdolność rozumienia, nasza umiejętność ogarnięcia jego życia wewnętrznego, mogącego stanowić podstawę oswajania, zbliżenia, przyjaźni.

O tem życiu, wiodącem się zupełnie dosłownie obok naszego, my, ludzie, dążący do ujarzmienia przyrody, jakże mało wiemy naprawdę. To, czem się jako cywilizacją, zdobytą wiekami pracy zwykliśmy szczycić, zwiększyło tylko przepaść i pogłębiło niezdolność i niemoc porozumienia z ich światem, tak nam z pozoru bliskim, a tak dalekim w rzeczywistości.

Wiele na drodze zadzierzgnięcia uczuciowego węzła pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem (a to jest chyba właśnie droga skutecznego nawiązania przyjaźni) uczynili współcześni pisarze. O ile dawniej postać zwierzęcia służyła poecie zawsze, jako symbol, czy alegorja, i temsamem była zazwyczaj środkiem pomocniczym dla wyrażenia pewnych abstrakcyjnych zupełnie nauk i poglądów, dzisiaj, odwróciwszy się od podobnych podejść, coraz częściej i lepiej poczynamy przyglądać się zwierzęciu w jego własnem życiu i środowisku.

Literatura niepodległej Polski, przyniosła nam w tej materji obok Ejsmondowych opowieści o sercu zwierzęcem, „Księgę o przyjaciołach" Nałkowskiej i Wielopolskiej. W dziale Nałkowskiej zwłaszcza odnaleźć można wiele niezwykłego u nas elementu zrozumienia duszy zwierzęcej, przez proste, łatwe i odbarwione z wszelkiej komplikacji psychologicznej spojrzenie w ten świat podobnych naszym uczuć, trosk i myśli. Literatura polska, będąca pod silnym wpływem kultury łacińskiej, jak to miałem sposobność nieraz już zauważyć, w zainteresowaniach swoich zwraca się przedewszystkiem w stronę rozważań i analizy ludzkiej duszy i jej losów, niezrozumieniem, a częściej obojętnością darząc tematy zwierzęce i przyrodnicze, tak żywych, zdolnych i znakomitych przedstawicieli znajdujące w Niemczech i krajach anglosaskich.

Nie dziw też, że Weyssenhoff, a jeszcze przed nim Dygasiński, stanowi na tle piśmiennictwa powieściowego u nas rewelację pierwszej próby i że odkreśla zjawieniem się swojem początek ery, będącej zwrotem ku sprawom, dotąd dla pisarzy naszych jakby nieistniejącym.

Tych kilka uwag pobieżnych zapewne i dalekich od wyczerpania tematu, bo nie tu miejsce na wyznaczanie roli pierwszym u nas rodzaju wymienionego pisarzom, roli pionierskiej, jej znaczenia i jej wpływów na przesunięcie zainteresowań tak wśród czytelników, jak i między pisarzami samymi, — tych kilka uwag ma być wstępem do omówienia nowej w dorobku literackim ostatnich dni książki: Arkadjusza Fiedlera „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele".

Są to opisy przygód, spotkań i przyjaznych stosunków autora, (którego wyprawa ornitologiczna i etymologiczna do Brazylji odbiła się echem szerokiem o łamy prasy, poznańskiej zwłaszcza), ze zwierzętami, których sporą liczbę zwierzyńcowi w Poznaniu przywiózł, a pośród których prawie rok przeżył w brazylijskiej puszczy. Krótkie, skąpe opowiadania, proste a wnikliwe, dają tak bardzo trafne, tak nieraz głębokie i doskonałe charakterystyki zwierzęcia, że nie waham się tego zbioru postawić właśnie obok mądrej i pięknej „Księgi o przyjaciołach" Nałkowskiej. Nie zewnętrznych podobieństw należy w nich szukać, poza tem najłatwiejszem—samego tematu, bowiem bliskie są sobie wymiarem wewnętrznym właśnie, duszą i poprzez pryzmat patrzenia na temat, patrzenia w ślepia zwierzęce i odczuwania bicia ich serc.

Zalety stylu pisarskiego Fiedlera, prostota i ekonomja jego wyrazu mówią, że mamy do czynienia z pisarzem dojrzałym i sumiennym, z talentem, który w dodatku nie ustaje w pracy i z materjałów swej podróży brazylijskiej ma zamiar obdarzyć nas nieiedną jeszcze książką. Celem jego, jako podróżnika, było najściślejsze współżycie z przyrodą, z podzwrotnikową puszczą — owoce tych obserwacyj, przez które przegląda także oblicze czującego „leśnego" człowieka, znajdujemy rozsypane po tym pierwszym tomie o przyjaciołach brazylijskich, zdobywających autorowi nietylko laur pisarza, ale i serca wszystkich miłujących życie zwierzęce czytelników — myśliwych.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

Jest rzeczą zanotowania godną, że większa część przywiezionych przez p. A. Fiedlera zbiorów dla muzeum przyrodniczego w Poznaniu leży dotąd nierozpakowana i nieoznaczona—podobno niema w Polsce ornitologa, któryby się tej pracy mógł podjąć, jeśli chodzi o owady, brak pono w bibljotekach dzieł (niemieckich), mogących służyć za podstawę segregacji. Radbym widzieć, by się notatka niniejsza, która powtarza niesprawdzone a niemniej uporczywe na temat rzeczony echa, przyczyniła się do wyświetlenia powodów i posunięcia tej starzejącej się już, a w swoim rodzaju niesłychanej, zaległości.

Przyp. aut.

*) Arkady Fiedler — „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele"— Poznań, 1931. Nakł. Księgarni Uniwersyteckiej w Poznaniu.

DO PANÓW PREZESÓW TOWARZYSTW MYŚLIWSKICH I OSÓB PRYWATNYCH.

Pragnąc uzupełnić mój księgozbiór myśliwski tak, by ilustrował historję łowiectwa polskiego od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy, a jako taki mógł kiedyś godnie służyć potomnym, postanowiłem między innemi zebrać druki wszystkich Towarzystw Łowieckich z całego terenu Polski.

W tym celu proszę najuprzejmiej o łaskawe nadesłanie mi:

1) Statutu tamtejszego Towarzystwa (drukowany, litografowany, bity na maszynie, pisany ręcznie).

2) Regulaminu.

3) Blankietu legitymacji.

4) Odbitek używanych pieczęci (każda odbitka na osobnej karteczce).

5) Papieru i koperty (z napisami, winietkami) używanych do korespondencji.

6) Różnych wydawnictw, odezw, pism i ulotek, wydawanych przez tamtejsze Towarzystwo, jak pisma zwołujące zebrania, polowania, ogłaszające konkursy wyżłów lub strzelań, programy tych konkursów, afisze, zaproszenia na bale myśliwskie etc. blankiety P. K. O. tamtejszego Towarzystwa, numery do losowań stanowisk, etc.

7) Odpowiedzi, czy Towarzystwo posiada bibljotekę myśliwską. Jeżeli posiada, to proszę: a) o podanie ilości dzieł, b) o spis książek i pism, z podaniem autora, tytułu dzieła i roku wydania.

8) Wzorów dyplomów, pochwał i t. p., nadawanych za tępienie kłusownictwa, hodowlę i t. p.

9) Odznaki członków tamtejszego Towarzystwa (żądaną należytość wyrównam odwrotnie).

10) Fotografij z życia tamtejszego Tow.

11) Wycinków z miejscowej prasy o tamtejszem Towarzystwie, dotyczących polowań, zwierząt łownych, kłusownictwa i t. p.

12) Spisu imiennego (ilości) członków z ich adresami.

13) Informacyj: a) ile broni odebrano kłusownikom, b) wysokość składki członkowskiej i wpisowego.

14) Adresów znanych Panu Prezesowi kółek łowieckich lub rybackich, miejskich, wiejskich, wojskowych i t. p.

15) Wszystkich innych dokumentów odnoszących się do tamt. Tow.

Proszę również wszystkie osoby prywatne, które posiadają powyższe druki, jako byli członkowie różnych kółek łowieckich, o łaskawe nadesłanie mi tych drobiazgów. Połączone z tem koszty chętnie poniosę.

Ponadto poszukuję powojennych roczników, a nawet pojedyńczych zeszytów „Łowca Polskiego", „Łowca" lwowskiego i „Sylwana" warszawskiego, oraz kupuję wszelkie dawne książki, dotyczące łowiectwa, ryb, ptaków, koni, psów, broni palnej i zwierząt ssących lub wymieniam je na inne książki.

Niniejszą prośbę moją proszę traktować z naukowego punktu widzenia.

Józef Władysław Kobylański kpt.
Warszawa-Żoliborz, ul. Drużbackiej 9.

P. S. Życzliwe pisma proszę o przedruk tej odezwy w imię dobrej sprawy.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru.

Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, W. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Killynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. br. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, prof. dr. E. Niezabitowski, M. br. Potocki, A. br. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wł. Zabiełło, i dr. St. Zaborowski.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — **płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.**

W **numerach ozdobnych:** za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów erdakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5-ą pop. w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zakl. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.